

Bohemia, 23 / 2001

Święte góry

Wacław Sobaszek

Parafrazując zdanie kończące jego największy spektakl, „Apocalypsis cum figuris”, można by rzec: odszedł i więcej już nie powróci. Grotowski. Bo umarł. Gdyby nie to, może by się zjawił. Na niego zawsze się czekało. Że się zjawi. Nie w odwiedzin, bo nie miałby czasu, ale w jakiejś sprawie. Może, przy okazji, po trosze w odwiedzin.

W Olsztynie zjawił się nagle pewnego dnia. W towarzystwie Magdy Złotowskiej. Poszukiwał śladów Stachury. Był rok 1981. Stachura już nie żył. Grotowski miał robić coś podobnego do tego, co Stachura w ostatnim okresie swego życia. Gdy Stachura tworzył książkę „Fabula rasa”, to pisał ją nie jako literaturę, nie jako książkę. Miało to być coś ponad wszystko, w każdym calu literackiego tworzywa miało być przemienione i czyste. Chciał, żeby książka wyszła bez jego nazwiska, jako dzieło Nikogo. To jednak nie przeszło, chyba z powodu ociężałości myślenia ówczesnych wydawców, a może z powodu ich strachu.

Grotowski przygotowywał w pobliżu Olsztyna sesję Teatru Źródeł. Nie miał to być zwykajny teatr, spektakl. Coś ponad. To „coś” odbywało się w lesie. Ale może ciekawsza będzie opowieść o samym jego olsztyńskim pojawieniu się. Zdarzyło się to w pobliżu kina „Awangarda”. Zaskakujące były te jego pojawienia. O jednym pisze Elżbieta Morawiec:

*Nigdy nie zapomnę „Góry płomieni”;
czasu południa, czasu zmierzchu,
czasu zdobywania „świętej góry” —
jakby się biegło po kielich świętego
Graala, „zdobycia” zamku, gdzie Ty
milcząc, uśmiechnięty na nas czeka-*

*leś. I tej nocy, ciemnej, a gwiazdami
wyświeconej, kiedy mogłam — nie
wiedząc, że z Tobą — pójść przez ba-
gniste uroczysko i siść przy pniu so-
sny, o którą z drugiej strony — Ty
byłeś oparty.*

(„Teatr”, 2000, nr 1–3, r. 75)

Pisałem już, że na niego się czekało. Kto raz się z nim spotkał, zapamiętał Jego miły, łagodny sposób bycia. Dyskretnego wyrastania jakby spod ziemi. Jako student byłem w Teatrze Laboratorium, uczestnicząc w publicznym spotkaniu. Tłum ludzi. Nagle ktoś wziął mnie za rękę i przeprowadził bliżej środka akcji. Dopiero po kilku krokach rozpoznałem Jego twarz, uśmiechał się do mnie. A byłem tam wtedy osobą jeszcze kompletnie nieznaną.

To jeden z tych, na których się czeka, nawet bezwiednie, z którym się w myślach, w snach rozmawia. Był. Przedziwne jest, że tak ważne rzeczy niby fundamenty, filary naszej psychiki, kruszeją, nikną.

Drugim człowiekiem-filarem był dla mnie kiedyś Eliade. Nie tylko dla mnie. Był czas, znowu wspomnę połowę lat 70., że nazwisko to brzmiało w uszach młodych ludzi jak zaklęcie. Przypomni mi o tym Suryn. Część czytanych przezeń „Dzienników” można usłyszeć z kompaktu, który jest dodatkiem do książki „Światło” (Warszawa 1999). „Posłuchaj Mircea!”, mówi nagle Suryn w którymś ze swych dziennikowych, senno-skojarzeniowych wierszy. I tylko tyle, po imieniu. Jakież to niesamowite! Mircea Eliade był w tamtych czasach tak ogromną nadzieją, że stawał się kimś bliskim. Z kim można było rozmawiać, spotykać

się, przynajmniej w wyobraźni. A poszukując pewnych ostatecznych odpowiedzi, nawet pragnąć bezpośredniego spotkania. Kiedyś powiesiłem sobie nad łóżkiem wycięty z „Forum” portret Eliadego z fają w zębach!

Właśnie, jakie to nadzieje budziły w nas książki Eliadego? Miałem kiedyś sen. Przyśnił mi się stary profesor. Przybył, by surowo ostrzec mnie o odpowiedzialności za moje intensywne zajmowanie się pieśnią. Było to w czasach gdy w Węgajtach dopiero zaczynaliśmy zajmować się pieśniami ludowymi, ale moment był delikatny. Przełom miał zaraz nastąpić. „Pieśń jest wszystkim” — takich między innymi twierdzeń używał stary profesor i zakończył napomnienia: „Pieśń to ja!”, wręczając mi list, w którym wszystko było pisemnie utrwalone. Mówiąc ostatnie słowa, odwrócił kartkę listu. Z drugiej strony znajdował się rysunek płyty nagrobnej. We śnie rysunek płyty stał się samą płytą. Płyta została mi przestana na potwierdzenie. Imię i nazwisko niewyraźne, zatarte, ale dawało się odczytać: Mircea Eliade.

Kruszy się wszystko, znika. Za dużo ostatnimi czasy słyszałem o związkach Eliadego z nacjonalizmem, albo nawet faszyzmem, bym miał nadal żywić tak intymne wyobrażenia o autorze. Do jego książek rzadziej wracam. Cóż, może gdy trzeba, sięgam po „Szamanizm, archaiczne techniki ekstazy”. Ostatnio o problemie: Eliade, faszyzm pisał Krzysztof Czyżewski („Gazeta Wyborcza”, 26 IV

2000). Z wyjątkową starannością problem ten został w eseju ukazany. Pojawia się tam opis zdarzenia z czasu internowania Eliadego, razem z innymi zwolennikami „sprawy narodowej”, w 1938 roku. Opis zbiorowego przeżycia uwięzionych, pogrążonych w głębokim skupieniu, przy świetle świec. Trochę jak tam na zamku, na „Górze Płomieni” — pomyślałem, czytając to.

Gdy wystawiono „Górę Płomieni”, nie byłem już tak początkującym stażystą Teatru Laboratorium. Sam się nawet do jej powstania przyczyniłem, niezależnie od tego, kto pierwszy czytał opisy świętych gór u Eliadego. Zrealizowałem wcześniej, w nieco mniejszej skali „Górę Płomieni” w Brzezince, według własnego scenariusza. Działo się to w ramach przedsięwzięcia parateatralnego „Special Project”, pod kierunkiem Ryszarda Cieślaka w roku 1974.

Stare to dzieje. Trudno je opowiedzieć i wyjaśnić. Dziś o pewne rzeczy łatwiej. Co nie udało się Stachurze, udało się autorowi książki „Dumki Jacoba” (Warszawa 1999). Udało się mu mianowicie nie umieścić swojego nazwiska na okładce. A w środku życiopisanie znakomite, jak u Stachury, i też można tam znaleźć olsztyńskie i podolsztyńskie ślady, i świętą górę. Ale to już temat na osobną opowieść.

Wacław Sobaszek